

## ARTYKUŁY RECENZYJNE I RECENZJE

**Henryk Ślabek**

Warszawa

### Witold Kula — historia — polityka\*

W kilka lat po śmierci Witolda Kuli ukazały się jego *Rozdziałki*<sup>1</sup>. Ten niecodzienny tytuł książki jest bardzo trafny, złożyły się na nią bowiem bardzo różne formy wypowiedzi: są w niej zapisy właściwe dziennikowi intelektualnemu, ale są również bardzo zwięzłe zapiski szczegółowe, są notatki obrazujące szerszą refleksję tak skrótowe, że po kilkudziesięciu latach trudno do odczytania bez ryzyka zniekształceń, są wreszcie syntetyczne projekty godne rozwinięcia w formie wykładu, artykułu, czy nawet książki.

*Rozdziałki* dotyczą okresu 1953–1982. Lata są reprezentowane bardzo nierównomiernie. Z niektórych w ogóle nie ma zapisów; być może zaginęły albo i w ogóle nie powstały. Mimo ograniczeń *Rozdziałki* już ze względu na swą unikatowość stanowią szczególnie użyteczny materiał do obserwowania ewolucji poglądów autora na ludzi i problemy Polski powojennej.

Na wzmiankę o książce któryś z historyków zareagował grymasem niechęci, inny — oznakami ubolewania, jeszcze inny — niby współczuciem. Czym się części środowiska *Rozdziałki* naraziły?

Wiele zdaje się tłumaczyć reakcja na nazwisko. Opatruje się książkę — nie tę pierwszą — znakami zapytania nawet przed jej lekturą ze względu na kontrowersyjność autora; bo był inny, bo miał niezależne poglądy (również polityczne), bo wyrażał i przedkładał pogląd własny nad opinię środowiskowej społeczności, czyli — trawestując Tadeusza Drewnowskiego, Witolda Gombrowicza, Andrzeja Kijowskiego — w niejednym wypadku po prostu nad reakcję stada, kupy czy pokolenia. Witold Kula — o czym w samych *Rozdziałkach* wzmiankuje się z goryczą — przez długie lata nie znajdował zrozumienia jako uczonego i obywatel, narażał się też tym, że nie potrafił przynależeć do „sitwy”. Nie uchodził za swojaka, tymczasem również podówczas rację i wsparcie środowiska z całą pewnością mógł uzyskać tylko „swój”.

---

\* Opracowano na podstawie wprowadzenia do dyskusji, które wygłosili prof. Jan Kancewicz (W. Kula i historia) i prof. Henryk Ślabek (W. Kula i polityka). Dyskusję — której wyniki również częściowo uwzględniam — z udziałem wydawcy *Rozdziałków* prof. Marcina Kuli, odbyto na zebraniu Towarzystwa Naukowego im. Adama Próchnika, 28 kwietnia 1997 r.

<sup>1</sup> W. Kula, *Rozdziałki*, opracował oraz wstępem i przypisami opatrzył M. Kula, Warszawa 1996, ss. 493.

Artur Sandauer, w jakimś sensie i stopniu odpowiednik Witolda Kuli w środowisku literatów, szydził: Gdyby w Warszawie pojawił się Einstein z wieścią o swym odkryciu, zadawaliby sobie literaci dwa pytania: kto się pod nim kryje i co jest grane. Gdyby się okazało, że on jest nasz, jego teorię natychmiast ogłoszono by historycznym osiągnięciem nauki. Ale tak by postąpiono w takim i tylko w takim wypadku. Sandauera zwalczano w sposób bezwzględny i dolegliwy. Niewiele pomogła obrona Gombrowicza i samej paryskiej „Kultury”, na łamach której — przypomnijmy — ukazała się w 1957 r. pierwsza wypowiedź z cyklu *Bez taryfy ulgowej*. Krnąbrnemu poputczykowi Sandauerowi nie dawali pardonu ani nagle odmienieni pionierzy socrealizmu, ani młodzi — „wściekli”. A Kuli?

W listopadzie 1960 r. Profesor zapisał: „Wyznaję: przeszkadza mi ogromnie to, że nie należę do żadnej «kliki», «kapliczki», czy «towarzystwa wzajemnej adoracji». Eleganciej nazywam to «poczuciem izolacji w środowisku»” (s. 79). Z jakich powodów i kto mógł sprawić, że Kula czuł się osamotniony czy wyobcowany? Odpowiedź na tak postawione pytanie analogii do Sandauera nie przekreśla, choć czyni ją mniej oczywistą.

Względna izolacja, której pogłos do dziś jest słyszalny, datowała się chyba od połowy lat czterdziestych. Od tego czasu intelektualna tożsamość i dorobek ludzi z pokolenia Kuli i starszych były zagrożone. Przyjmując postawę samoobronną, starsi twórcy nauki i kultury niewiele mieli szans ponad to, by solidarnie się dowartościowywać albo i przeceniać swoją rolę w społeczeństwie, niekiedy — desperacko — również na drodze zawłaszczeń; a więc elita inteligencka to w jej samoocenie — mówiąc najkrócej i z pewnym przerysowaniem — ostoja prawdy, wolności i piękna.

Tymczasem Witold Kula, podobnie jak Józef Chałasiński, bynajmniej nie był tego pewny. Wątpliwości — obecne już w notatkach z przełomu lat czterdziestych, opublikowanych następnie jako *Gusta* — znajdują swoistą kontynuację w *Rozdziałkach*. Kula od początku dopuszczał rewizję również takich wartości, które w środowisku i na gruncie nauki uchodziły za nienaruszalne dogmaty lub, mówiąc językiem współczesnym, stanowiły świadectwo „politycznej poprawności”.

Wykraczając poza społeczne granice inteligencji, Kula — ciągle nietypowo — postrzega wolność poprzez konkretyzowaną jej użyteczność nie tylko dla inteligenckich grup ludności. Dla ciemniejszych i nędzarzy — powie jeden z bohaterów *Guseł* — ważniejsza jest nie wolność myśli — jak dla inteligenta, „lecz przede wszystkim [wolność] życia, jedzenia, pracy”. Czemu: prawdzie czy sprawiedliwości społecznej dać pierwszeństwo — pyta inny heretyk Kuli. Między bohaterami i w tym wypadku nie ma jednomyślności, tak samo jak i w sprawie szanowania różnych gustów i poczucia piękna.

Witold Kula, choć również wtedy bezpartyjny, mógł być postrzegany jako człowiek „nowej wiary”. Tymczasem na łamach „Kuźnicy”, z którą ściśle współpracował<sup>2</sup>, „wściekli encyklopedyści” (Jan Kott, Adam Wążyk, Mieczysław Jastrun) już od początku 1946 r. grozili intelektualistom „starej daty”, że zmuszą ich do totalnej zmiany postaw, a wyparcia się — własnych

<sup>2</sup> Z czterech pozycji opublikowanych w 1945 r. wszystkie ukazały się na łamach „Kuźnicy”; polemizowali z Kulą z jednej strony Roman Werfel, a z drugiej — Paweł Jasienica. Z dziesięciu pozycji w 1946 r. jedna ukazała się w „Kuźnicy”, z sześciu w 1947 r. — jedna, z dziesięciu w 1948 r., dwie; z ośmiu w 1949 r. — jedna.

życiorysów”<sup>3</sup>. Nic dziwnego, że szczególnie wśród starszych stażem uczonych zachowania Kuli mogły rodzić żal i odruch niechęci. Niechęć pozostała i szczególnie mocno miała się zaznaczyć i doskwierać w okresie „odwilży” i później. Profesor bowiem również w czasie zwrotów i przełomów nie potrafił zmieniać swych poglądów ani dostatecznie szybko — przynajmniej jak na gust, czy potrzeby dawnych politycznych przyjaciół z „Kuźnicy” i podobnie jak oni myślących, ani o tyle głęboko, by móc usatysfakcjonować wspomnianą już grupę twórców nauki i kultury o mentalności i poglądach „przedwojennych”.

Po 1956 roku — jak by wynikało z *Rozdziałków* — Witold Kula nadal chodził własnymi ścieżkami. Jego osobliwa nieprzewidywalność wprawdzie przysparzała kłopotów gomułkowskiej władzy, lecz równocześnie nie dogadzała części środowiska i to — zdaje się — z obydwu stron barykady. Kiedy osobliwi rewizjoniści, a równocześnie często i „konserwatyści”, mówili o wszystkim, wszystkich i na wszystkie sposoby, a myśleli zwykle o jednym: o sobie i swojej grupie — Profesor albo martwił się wraz z nimi, ale na zupełnie inną modłę, albo — co gorsza — zgłoła bardziej martwił go los nieinteligentnych grup ludności.

Witold Kula również podzielał środowiskową pretensję wobec gomułkowskiej władzy o zaniedbywanie spraw ludzi nauki. Poprawę ich pozycji społecznej wiązał jednak nie tylko, a może i nie przede wszystkim ze zmianą warunków zewnętrznych. Nie godził się demonstracyjnie z hołubieniem getta, środowiskowego „feudalizmu”. Wbrew silnym oporom przyczyniał się, jeśli tylko mógł, do promowania na profesorów zdolnych młodych osób. Był również aktywny w przełamywaniu barier społecznych w dostępie do zawodów akademickich; przypląw do instytutów i na uniwersytety nowych sił społecznych również Kuli mógł się przedstawiać jako ważny i dla rozwoju samej nauki, i dla jej społecznego poważania. Pisał dziesiątki (może setki?) recenzji z prac „na stopień naukowy”, szczególnie chętnie dla osób z prowincji i gminu (jednym z beneficjentów i ja byłem). Przynajmniej w pierwszym powojennym piętnastolecu nad erudycję doktoranta przedkładał uzdolnienia. Również dzięki temu zapewne wielu spośród promowanych, których prace doktorskie nie sprostały próbie czasu (czy w ogóle były takie wśród tych dotyczących historii najnowszej?), doszło do tytułu profesorskiego albo i członka PAN.

Wzmocnienie kondycji nauki i uczonych — można by powiedzieć ogólnie — łączył z samodoskonaleniem się i wyrzeczeniami: z narzucaniem sobie wyższych wymagań, z grupowaniem się nie w kołach wdzięczności wobec mistrzów, lecz według zainteresowań i orientacji naukowych. Taka postawa musiała napotykać opór, tym bardziej że w wielu punktach zbiegała się z również po Październiku nie lubianą polityką naukową. Natomiast sam Kula, na domiar, nie stronił od spontanicznej personalnej polemiki, jeśli nawet zasadnej, to i tak odbieranej przez adwersarza z przykrością.

W styczniu 1963 r. — zacytujmy tytułem przykładu — zapisał: „Myślę, że stosunkowo mało jestem czuły na tzw. esprit de corps. Przeciwnie. Nie cierpię jego przejawów. Ci koledzy, którzy na każdym kroku obnoszą te togi (nawet wówczas, gdy są bez nich) działają mi na nerwy (...) biadający często, że autorytet profesora opadł w porównaniu z dwudziestowieciem (tzn. że nie jest tak szanowany, jak kiedyś Handelsman i Tokarz), nie tyle mnie śmieszy, co złości. Powiedziałem mu nawet kiedyś, że w dwudziestowieciu nie zostałby nigdy profesorem (zrozumiał, zdaje się, że tylko dlatego, że jest Żydem).

<sup>3</sup> Zob. J. Kott, *Obrachunki noworoczne*, „Kuźnica” 1946, nr 1.

Ale boję się, że jak tak dalej pójdzie [ciągle, również nieuzasadnione pretensje ze strony władzy — H. S.], zacznę się poczuwać do korporacji. Wytworzy się refleks solidarnościowy” (s. 30).

Według *Rozdziałków* w 1957 r. — w rok po Październiku i tuż po zamknięciu „Po prostu” — największe niebezpieczeństwo dla kraju i samych inteligentów — łączyło się z postępującym rozwarstwieniem społecznym i erozją zasad egalitaryzmu socjalistycznego. Przestrzegał więc władzę, by podnosiła zarobki również podstawowej rzeszy robotników i w ten sposób przecięła „sytuację sprzyjającą powstaniu odchylenia prawicowego” (s. 34).

W tym samym czasie, brnąc konsekwentnie pod prąd, uświadamiał swym współtowarzyszom, że inteligencja twórcza i techniczna jest wśród beneficjentów popaździernikowego okresu, i teraz, jeśli chce się mieć wolność, trzeba zrezygnować z dalszych roszczeń materialnych na rzecz grup innych, zapomnianych. Mimo obiegowych, negatywnych skojarzeń z hasłami „aparatchyków” (o nastrojach mas decyduje kielbasa), perswadował zdroworozsądkowo, iż danie masła innym to warunek wolności własnej.

Powyższe można chyba uogólnić w zdaniu: Politykę pierwszego popaździernikowego okresu krytykuje Kula „z lewa”, tak samo jak część rewizjonistów, lecz w imię wsparcia pozytywnych działań władzy, czyli inaczej niż nagle odmienieni pionierzy stalinizmu, a nieco wcześniej, niż uczynili to samo co on tzw. neopozytywiści (Kisielewski, Stomma i inni).

A jak długo trwał Październik? W historiografii epoki pogomułkowskiej — od lat siedemdziesiątych aż pod dzień dzisiejszy, mówi się dość powszechnie o niemal natychmiastowym odwróceniu od Października, a nawet o jego zdradzie, i to już w 1957 r.

Przypomnijmy, że istnieją trzy obrazy historyczne drugiej tury rządów Gomułki: negatywny obraz orientacji rewizjonistycznej (dziś panujący w oficjalnej historiografii, a niemal obowiązkowy w „Gazecie Wyborczej”), negatywny obraz orientacji narodowo-chadeckiej i wreszcie osierocony, obecnie nie mający politycznego sponsora, obraz neopozytywistyczny, który swego czasu kreowali przede wszystkim Stefan Kisielewski i Andrzej Walicki. Treść *Rozdziałków* wskazywałaby, że zbliżonymi torami biegło myślenie Kuli i Walickiego. W reakcji na kolejne nieprzychylnie Październikowi wypowiedzi, w styczniu 1972 r., Kula na przekór negacji zapisał: „Ale ten Październik dał Polsce ponad dziesięć lat [podkr. — H. S.] pięknego rozwoju nauk społecznych, które może będzie najpiękniejszym w ciągu naszego życia” (s. 306).

Poprzez niewiele mniej optymistyczną ocenę postrzegał warunki rozwoju historiografii. Również źródło ograniczeń stanowiła partyjna interwencja; na przełomie lat pięćdziesiątych bardziej — jego zdaniem — odczuwana jako „inspiracja” niż cenzura. Lecz skutki presji zewnętrznej nie były bynajmniej jednostronne, objawiając się tyleż w deformowaniu historii najnowszej na obraz każdorazowego kursu polityki, co i w petryfikowaniu tradycjonalistycznego pisarstwa o epokach bardziej odległych. Przekornym, również podówczas dość osamotnionym, zdaniem Kuli, dla poznawczo otwartej historiografii szczególnie groźną zawadę stanowił tradycjonalizm. Jego trwałość, obok natury własnej, tłumaczyło — o paradoksie — nie chciane wsparcie ze strony władzy. Komunistyczny kompleks na punkcie narodu i ojczyzny, dodatkowo spotęgowany reperkusjami „odchylenia nacjonalistycznego” Władysława Gomułki, sprzyjał kształtowaniu wśród zarządzającego aparatu postaw szczególnej asekuracji, czyli szczególnej pronarodowo-patriotycznej ekspresji<sup>4</sup>. W tym wypadku — znowu paradoksalnie

<sup>4</sup> Por. H. Slabek, *Narodowa kondycja Polaków (1945–1989)*, „Dzieje Najnowsze” 1995, nr 4.

— po 1956 r. byli przeciwni rewizjom dawnych prawd narodowych (o polskich powstaniach XIX w. i polskim patriotyzmie itp.) i historycy — tradycjoniści (z przekonania) i „aparaczczy” (często z politycznego musu).

Nie podobało się Witoldowi Kuli wiele spraw rozgrywanych wokół historii. Lecz na ogół, również w takich wypadkach, więcej miał pytań i problemów niż żalów czy pretensji.

Raziły go więc uproszczenia, które towarzyszyły obchodom rocznicowym, również tym z lat sześćdziesiątych. Równocześnie zastanawiał się, czy odstępianie od jubileuszów i związanej z nimi mitomanii nie spowoduje zanikania wszelkiej świadomości historycznej. Czy sama ta świadomość, nawet w swoich najlepszych przejawach, nie jest mitomanią? A jeśli już nie, to jaki jej rodzaj preferować? On wybierał świadomość historyczną „dobrą” [naukową?], którą chciał walczyć przeciw świadomości „złej” [nienaukowej?]. Czy jednak taki projekt mógł być wykonany w skali społecznej, jeśli zważyć, że w odróżnieniu od naukowych cieszyły się poczytnością właśnie prace charakteryzujące się skrajnym psychologizmem i skrajną modernizacją (np. P. Jasienicy)? Pozostawała, jako pociecha, nadzieja na to, że przynajmniej w przyszłej atomowej erze zaistnieje, być może, „historia «w kategoriach zmienności», a nie historia modernizująca *ad usum delphini* każdy moment przeszłości, a więc tym samym bazująca na niezmienności” (s. 63–64).

Irytowały Kulę władze, ilekroć żonglowały pojęciem rewizjonizmu, a rozbawiały — gdy z rewizjonizmu próbowały czynić rodzaj antyśrodowiskowego straszaka. Nawet próby wyrzucenia z PZPR naczelnego rewizjonisty (L. Kołakowskiego) kojarzyły mu się z zabawą w kotka i myszkę, z tym że rola kotka (władza) również przez myszkę (środowisko intelektualistów) bywała grana. Odwoławszy się do przykładów, kiedy to władze były zmuszone odstąpić od obwieszczanych gróźb, w lutym 1960 r., wnioskował:

„1) Jesteśmy jednak dość silną *groupe de pression*. Oni myślą, że mogą się z nami nie liczyć — i sami nie wiedzą, jak bardzo się liczą;

2) prawo informowania władzy w ustrojach monopartyjnych i silnie scentralizowanych jest prawdziwą władzą” (s. 60–61).

Kula nie pisał się również na opracowywanie, czy choćby upowszechnianie, historii pod tak zwane zapotrzebowanie społeczne. Wiele do myślenia dały mu jednak dyskusje z nauczycielami. Oni myśleli i wartościowali wprost odwrotnie niż Profesor. Chcieli właśnie historii bohaterskiej, wydarzeniowej, wojennej, politycznej. Chcieli słyszeć o „chwale oręża polskiego”, o „zagospodarowywaniu Ziemi Zachodnich przez PZPR” itd. Było to naturalne, bo nie z własnej woli przybywający tu ludzie z terenów zabużańskich szukali uzasadnień, że nie są przybłędami na „cudzym”. Dla ich spokoju sumienia były niezbędne orły piastowskie na zamku w Brzegu i pamięć, gdzie Bolesław Chrobry wbił słupy graniczne. Pytał w związku z tym i deklarował się: „Kto ośmielił się ich za to potępić? Tylko bywalcy warszawskich kawiarni”. Swą „wielką lekcję skromności” kończył prowokującą refleksją: „I jeszcze jedno — zapisał w maju 1962 r. — gdy Partia w swej propagandzie pomieszcza tak drażniące nas elementy nacjonalistyczne, tak jednocześnie utrudniające walkę o nowoczesną historiografię — mamy w tym, jak nieraz, dowód, że Partia w jakiś sposób wyraża potrzeby mas (a nie tylko, zgodnie z prawem naczyń połączonych, reaguje na «ziomkostwa» zachodnioniemieckie). Łatwo odpowiedzieć mi na to, że Partia wyraża kołtuna (choć na pewno w tym jest wiele prawdy). [Jednak], po pierwsze, nie lubię słowa «kołtun». Każdy jest kołtunem dla tych, którzy są od niego kulturalniejsi, mądrzejsi, subtelniejsi. A co ważniejsze: potrzeby ludzi, o których mówiłem, są reakcją zdrowych organów na chorobotwórcze bakcyle. Zdrową przeciw postawą jest nie chcieć cudzego, szanować prawo zasiedzenia, chęć czucia się «u siebie»” (s. 104–105).

Przejdźmy do kolejnej kwestii. Jaką ogólną wizję historii prezentują *Rozdziałki*? Można by odpowiedzieć krótko: nowoczesną i dlatego podówczas postrzeganą w środowisku jako nie na czasie. Było w niej coś z pomysłów „Annales”, wtedy znanych w Polsce bardzo słabo. Odbija się w niej echo coraz głośniejszych dyskusji nad Sozialgeschichte i Socialhistory. Lecz historia pióra Witolda Kuli błyszczy wartościami oryginalnymi. Jego podstawowe książki (o problemach i metodach historii gospodarczej, o teorii ekonomicznej feudalizmu, o miarach i wagach) niemal natychmiast są tłumaczone na Zachodzie. Polskiego historyka na bodaj bezprecedensową miarę w Europie się studiuje, zna i aprobuje.

Już pobieżna lektura *Rozdziałków* sugeruje, że wbrew dość powszechnemu przekonaniu historia jest nauką nie tylko o przeszłości. Fakty, na których się opiera, zaistniały niegdyś, lecz często mają też swój „ciąg dalszy” w teraźniejszości i przyszłości. Już po opublikowaniu *Rozważań...*, na których *nota bene* kształciło się z zapamiętaniem Październikowe pokolenie historyków, w końcu 1958 r. Kula zapisał: „dodać do *Rozważań* rozdział [...] pt. Teraźniejszość: główne źródło historyczne” (s. 43). Do koncepcji nie powrócił wprost, lecz ważniejsze jej elementy można odtworzyć.

Kształt i zmianę prawdy historycznej — do dziś twierdzą pragmatycy i tradycjoniści — określają materiały historyczne; wykorzystanie (odkrycie) materiałów nowych pozwala uściślić lub zmodyfikować prawdziwość faktu. Tak jest w istocie, ale tylko w odniesieniu do zdarzeń najprostszych (data, miejsce urodzenia itp.). Inaczej natomiast ma się rzecz w wypadku faktów złożonych (to pojęcie przyswoiły polskiemu czytelnikowi *Rozważania*). Należałoby mówić wprost o prawdziwości nie tyle faktów (różnie rozumianych), ile o ich autorskim obrazie (intelektualnej konstrukcji). W procesie poznawania faktów złożonych, stanowiących fundament nauki historycznej, akcent ważności z przedmiotu badań (materiały) przenosi się zdecydowanie na podmiot badający (historyk). Historyk jest stroną aktywniejszą tak dalece, że często rozstrzyga o samej przydatności poznawczej materiałów. Te tak bowiem tańczą, jak grają zadawane im pytania.

Tymczasem postulaty kierowane do samej historii podsuwa albo i dyktuje właśnie teraźniejszość. Tak było w Polsce przed 1989 r. „Historia dyżurująca” nie zawodziła. Odpowiednio do aktualnych układów personalnych i nastawienia politycznego centrum np. symbolizowane przez Władysława Gomułkę wartości historycy raz potępiali totalnie, to znów stawili bez umiaru, nie oglądając się na dokumentację historyczną. To samo dotyczyło oceny wielu wydarzeń starszej daty — z lat międzywojnia i wcześniejszych. Dziś jest kulturalniej, lecz pozostała sama zasada: „historia dyżurująca”. Oczekiwania nowych możliwych są zaspokajane z nawiązką. Pytania o pozytywy bywają rezerwowane wyłącznie dla tradycji, którą „dyżurni historycy” uznają za swoją. Konkurentów historycznych się potępia, a potencjalnych — skazuje na zapomnienie; kto dziś bada historię ruchów plebejskich i ich reprezentacji? Jest gorzej niż na Zachodzie, ale nie inaczej z punktu widzenia działających mechanizmów. Tam również dokonuje się selekcja obszarów i pytań badawczych. A historycy, nawet na identycznej podstawie materiałów ogólnie dostępnych, kreują wykluczające się obrazy wielkich zdarzeń historycznych.

Na wielkie znaczenie współczesności, jako źródła historycznego, przekonująco wskazuje także „historia pokoleniowa”. Niemał każde, a po wstrząsach i kataklizmach zgoła każde pokolenie ma inną, własną wersję historii. Tuż po wojnie np. dla studentów francuskich, a obecnie i dla polskich — najbardziej przekonującą historię piszą i będą pisać ich rówieśnicy. Dzieje się tak, mimo że młodszy historycy mają mniej umiejętności i wiedzy, także o dokumentach. Rozstrzyga doświadczenie rówieśnicze, na jego podstawie bowiem kształtują się

bardziej zbliżone zainteresowania (również historyczne), nawyki, gusty, reakcje. Wskutek odmiennych życiorysów autorów i czytelników nawet najbardziej kompetentne opracowania sprzed stu czy pięćdziesięciu lat są dziś martwe. Spośród młodzieży prawie nikt po nie sięga (może z wyjątkiem *Dziejów* M. Bobrzyńskiego).

W maju 1962 r. Witold Kula zapisał: „Społeczeństwo domaga się szeregu tematów tradycyjnych [...] Niektórzy naukowcy odpowiadają na to: «To zaspokójmy zapotrzebowanie społeczne reedycjami Łozińskiego, Chłędowskiego, etc.». Ale to paliatyw [...] Gdy dana tematyka schodzi z warsztatu historyków (choćby dlatego, że dostatecznie została już opracowana) — znika ona jednocześnie ze świadomości społecznej. Żeby w niej żyła — musi być opracowywana wciąż i wciąż na nowo” (s. 97).

Istnieją zdarzenia obiektywne, czyli niezależne od podmiotu poznającego. Lecz poza podmiotem nie ma historii, jeśli ta jest tylko autorskim obrazem jej obiektywnych odpowiedników; względny relatywizm zatem nie wyklucza poznania. Na fakt złożony składa się wielość prawd o nim, występujących równocześnie i następujących po sobie wraz z upływem czasu historycznego. Wielość prawd, nie wyłączając ze sobą sprzecznych, to natura poznania historycznego. W przekonaniu Profesora dla rozwoju i pozycji historii było groźne właśnie niezrozumienie istoty historycznego poznania, a nie prezentyzm i świadome fałszowanie faktów. Wbrew przekonaniu wielu zdezorientowanych młodszych historyków, równie szczerze co hałaśliwie i irracjonalnie odreagowujących praktyki sprzed 1956 r., zachowanie intelektualnej uczciwości, aczkolwiek niezbędne, wyniku badań nie przesądzało. Na poziomie dociekań Profesora było to tak oczywiste, że nie warto choćby jednej bezpośredniej wzmianki.

Historia pisana współcześnie jest weryfikowana i modyfikowana przez przyszłość. Przyszłe oceny dzieł autora, choćby ten jeszcze żył, nie od niego będą zależały. Z nieuchronnością Profesor godził się racjonalnie i pogodnie. Próbując odgadnąć przyszłe losy *Rozważań*, w marcu 1961 r. nie bez rozbawienia, z domieszką ironii zapisał: „Jeśli polityka światowa rozwijać się będzie dobrze i pokojowo, to sytuacja wewnętrzna w krajach socjalistycznych rozwijać się będzie dobrze i liberalizująco. Wówczas moje *Rozważania* przejdą do historii historiografii jako symbol początku odnowy. W przeciwnym wypadku doczekają się jeszcze spóźnionej krytyki i będą traktowane jako zdemaskowanie się dwulicowca. Ta sytuacja jest w gruncie rzeczy sympatyczna. W tych warunkach nie pozostaje człowiekowi nic innego, jak mówić to, co uważa. Nie jest skrupowany względami życiowo-karierowymi. I tak nie wiadomo, co się «opłaca». Pełna wolność” (s. 86).

Początki naukowej historiografii w Polsce wiązał nie z historią królów i wojen, lecz społeczeństwa, jego różnych grup i instytucji. Na historię, jak każdą inną naukę, składają się metody, metodycznie ustalone fakty oraz idee, z pomocą których różnorodne fakty można porządkować i selekcjonować.

Ambitnym dziełem naukowym przyświeca dążność, by wnieść coś nowego w każdym z tych trzech zakresów. By dzieło przynosiło nowe metody czy adaptowało stare do nowych zastosowań. Nowości w dziedziny metod przedkładał nad mnożenie faktów ustalonych starymi metodami. A najbardziej brakuje współczesnej humanistyce — oceniał — nowych idei metodologicznych, których „nie ceni nikt” (s. 121–122). On sam uznawał prymat problemów i wariantów interpretacyjnych nad materiałem (s. 89).

Wolał pytania i hipotezy od wniosków, mylonych ze stwierdzeniem faktów. Nie uznawał prawd zamkniętych. Do funkcji dzieła przywiązywał większą wagę niż do wyniku. Nie smuciła go ulotność własnych hipotez, bo „starzały się” one dlatego, że pobudzały innych do myślenia, do sprawniejszych dociekań. Drwił z przeciwstawiania opracowaniom edycji dokumentów.

Nowoczesna historia — postulował — powinna kooperować z innymi naukami społecznymi. Dziwiło go odmienne zdanie wysoko wśród historyków notowanego prof. Herbsta, który musiał wiedzieć, „że wszystko ciekawe, co zrobił, zawdzięcza swej znajomości architektury, urbanistyki, geografii, kartografii etc.” Nie rozumiał oporów ludzi, którzy poczuli się „do genealogii sięgającej np. Bujaka, Rutkowskiego czy Grabskiego, którzy przecież wnosili do historii swą wiedzę ekonomiczną” (s. 99).

Jedną z przewag historii nowoczesnej nad tradycyjną upatrywał w tym, że jest międzynarodowa. „Historia tradycyjna jest natomiast w dużej mierze «wspominkami rodzinnymi», które choć może potrzebne, użyteczne, a w każdym razie nieuniknione, nikogo poza rodziną nie wzruszają” (s. 89).

Z perspektywy 1963 r. oceniał, że już w *Rozważaniach* lansował koncept historii antypozytywistyczny, antysprzedajny, antyilustratorski. Tylko część historyków, szczególnie młodszych — przyznawał — dała się do takiej koncepcji przekonać.

Już po wydaniu swoich podstawowych prac, o których i na Zachodzie było głośno — Witold Kula czuł się bodaj jeszcze bardziej niedoceniony; najpierw przez środowisko, a następnie i przez władzę. W 1974 r. nie uwzględniono jego kandydatury do nagrody państwowej i członkostwa PAN. Inna była reakcja społeczności międzynarodowej. Wybrano go zaocznie wiceprzewodniczącym Międzynarodowego Stowarzyszenia Metrologii Historycznej. Otrzymał też nagrodę Fundacji Jurzykowskiego. Pocieszał się, nie umiając jednak ukryć uczuć goryczy.

A który rok jawi się w *Rozdziałkach* jako ważna cezura historyczna dla kraju i dla samego ich autora jako obywatela: rok 1968 — jak twierdzą na przykład „komandosi” — czy 1970? I w tym wypadku nie ma zgodności zdań, choć raczej rok 1970.

W książce jest tylko jeden zapis z 1968 r., ale obszerny i akurat właśnie o młodzieży. Brak w nim wzmianki o „Marcu”. Jeśli nawet przyjąć, że tekst powstał wcześniej, zaskakuje wiele bardzo krytycznych opinii o polskim kapitalizmie, a obok nich i takich, które poświadczają wiarę Profesora w możliwość doskonalenia socjalizmu w Polsce. Autor zapisał: Dla młodzieży „ważniejsze są braki i usterekki socjalizmu [podkr. H. S.] niż to, że kiedyś w tym kraju był kapitalizm, stagnacja gospodarcza, bezrobocie, przeludnienie wsi i ciemnota (...) O walce o socjalizm niech się młodzież uczy z podręczników historii — a sama niech się zabiera do jego naprawiania” [podkr. H. S.]. Na marginesie uwaga: Jak na zachwalanie „naprawy” zareaguje Marcin Król, który już w końcu 1989 r. miał odwagę postawić publicznie Marię Dąbrowską do raportu za to, że podpisała list '34 nie w intencji obalenia socjalizmu, lecz jego uszlachetniania?<sup>5</sup>

Kolejna teza: „Obaliliśmy burżuazyjny ideał małżeństwa — transakcji. Nienawidziliśmy go — i słusznie”. Uwaga: Jak uchronić czytelnika przed kojarzeniem sobie tych zdań z obecnym stanem przyrzeczonego upodmiotowienia wchodzących w związki małżeńskie? Kiedy „niepokój moralny” intelektualistów powróci z zasłużonego urlopu?

I wreszcie przykład ostatni. „Pokonanie nieludzkich cech jednego ustroju i stworzenie nowego — przynosi z kolei nowe trudności i zadania. Dlatego nie ma co wciąż kazać młodzieży za to, co jej dajemy, „bo ma do tego prawo, bo sami jej przekonanie o tym prawie wpoiliśmy”.

---

<sup>5</sup> M. Król, *Polskie materii pomieszenie*, w: *Stalinizm*, red. J. Kurczewski, Warszawa 1989, s. 9–11.

Jedyną bezpośrednią wzmiankę o marcu '68 napotkałem w zapisie z 1971 r. Mówi się w niej, że marzec przyniósł krzywdy i niezasłużone kariery, czego i nowe kierownictwo PZPR nie chce przyznać, ani tym bardziej naprawić. Rzeczona wzmianka nie zmienia wymowy wyżej streszczonej notatki. W tejże, jeśli ją wolno skomentować jednym zdaniem, uderza perswazja, którą Profesor zdawał się wywodzić z akceptacji, wprawdzie selektywnej, ówczesnej ewolucji polskich przemian. Ciągłe postawa polityczna Witolda Kuli, jeśli pokrywała się z tą z *Rozdziałków* wydawać się mogła bliższa Andrzejowi Walickiemu, Andrzejowi Micewskiemu czy Dominikowi Horodyńskiemu niż niejednemu rewizjonście i dysydentom (do dziś się to Kuli pamięta, a niekiedy wytyka głośno i *Rozdziałkom*).

Obraz mocno zmieniony przynoszą zapisy z początku lat siedemdziesiątych. Kiedy bodaj większość inteligentów szczególnie chwali ekipę Edwarda Gierka za wprowadzane zmiany gospodarcze, w *Rozdziałkach* właśnie gospodarka zbiera recenzje nieporównanie bardziej krytyczne od pisanych przed pięćcioma czy dziesięć laty. Dlaczego? Rozmijanie się ocen oraz zachowań Profesora i środowiska również tym razem nie zaskakuje niczym szczególnym. Ale przyczyna tego mogła być szczególna.

Rzecz tłumaczyłbym tym, że pogląd Kuli zbiegał się z tezą Johna K. Galbraitha, który ocenę gospodarki planowej łączył z jej trzema etapami: z udaną fazą pierwszą (redystrybucja własności i dochodów) i drugą (zbudowanie podstawowej infrastruktury) oraz z nieudaną fazą trzecią (niezaspokajanie różnicujących się potrzeb społecznych). Przechodzenie do fazy trzeciej dopełniało się w Polsce na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Do tej tezy, dopiero dziś szerzej akceptowanej wśród ekonomistów, a jeszcze nieobecnej w dominującym nurcie historiografii Profesor dochodził przed ponad ćwierćwieczem. Nic dziwnego, że formułowane przezeń oceny i wnioski nie były wtedy podzielane, czy często choćby zrozumiałe.

Kula roztrząsał kwestie: Kiedy uda się zlikwidować rezerwową armię zatrudnionych w przemyśle; jak można przełamać metody i mechanizmy gospodarcze, które „służą sprawnie jedynie dla ilościowego wzrostu”; czy i jak można osiągnąć „postęp techniczny w skali rozumnej”; o ile można zastąpić w gospodarce zysk w cudzysłowie zyskiem rzeczywistym; jak nadać planom „elastyczność”, bez której „trafianie z produkcją do gustów nabywców” nie jest możliwe; dlaczego nie znikają kolejki (ogonki); jak wytłumaczyć, że gospodarka socjalistyczna „ma zawsze tendencję zbliżania się raczej ku brakom towarowym niż ku nadprodukcji” (gospodarka niedoboru?); jak przeciwdziałać temu, że produkcja idzie „w górę” — „a formy organizacyjno–ustrojowe w dół, aż do objawów feudalizmu” (ss. 228–235, 259–260). Wszystkie te pytania i diagnozy zapisał Kula w dwóch latach, w 1970 i 1971 r. To znamienne, ale na tym miejscu chyba już mniej zaskakuje.

Czy tak ostro krytyka to tyle samo, co zdeklarowanie się po stronie ładu kapitalistycznego? Takie uogólnienie byłoby pochopne. Zresztą alternatywne rozważania i wybory, zauważmy, jeszcze w dziesięć i więcej lat potem należały do zupełnej rzadkości.

Kula zdaje się oddalać od porządków realnego socjalizmu jako zaprzeczenia ideałów lewicowych. Zaczyna łączyć nadzieję na lepszy nieznany ład z lewicą zachodnioeuropejską i przemianami na Zachodzie. Wiosną 1972 r., podczas kolejnego pobytu w Paryżu, zapisał: Dzisiaj lewicowy Francuz czy Anglik nie zajmuje się, jak niegdyś, Wschodem i Trzecim Światem, lecz sobą. I słusznie. „Zachód Europy [bowiem], a nie ZSRR, szuka dziś czegoś nowego, nie wiedząc, czy szuka, czy nie szuka, bezradnie, beztładnie, czasem śmiesznie, czasem groźnie. Ale to właśnie oni, najbardziej rozwinięci powinni znaleźć drogę przyszłości. Grzechne mundurki i fartuszki uczennic i uczniów radzieckich liceów uspokajają może nerwy starsze-

go pokolenia (które zasłużyło sobie na prawo do oszczędzania swych nerwów), łamią może indywidualność (skutecznie) — ale nowych dróg nie znajdują” (s. 307).

\*